Nr. 16. We Lwowie dnia 22. kwietnia 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Toast wiosenny.

Do was, bracia! w ręce Wasze
Nowej wiosny wznoszę czaszę,
Wznoszę życia śpiew!
Czasza — z naszej matki ziemi,
W pieśni — tony skowrończemi,
Dzwoni ducha wiew.

Jak daleko my — a blisko!
Jedno grzeje nas ognisko,
Jedna ziębi pleśń...
Skroś zgubionych w mgle rozstrzeni
Jednem czuciem uniesieni,
Jedną wznosim pieśń!

Z niezdobytych głębin życia
Wzbiera, rośnie ze serc bicia
Pieśni naszej ton...
I w grobowej, głuchej ciszy
Wytężone ucho słyszy
Hejnał jej i dzwon!

Poszli mistrze... Z nas, czeladzi,
Nikt jej chóru nie prowadzi,
Nie zestraja dusz...
Czarodziejską przecież mocą,
Po nad życia śpiewa nocą,
Czekająca zórz.

Marja Konopnicka.

Monachjum. W kwietniu 1900.



Ocknienie.

Dramat w 3-ch aktach.

przez

Dr. Kazimierza Rakowskiego.

Nagrodzony zaszczytnem odznaczeniem na konkursie dramatycznym Wydziału krajowego 1900 roku.

SCENA VII.

(wchodzi służąca, która wyprowadziła poprzednio obydwóch młodych ludzi).

Profesor. Franciszka, co robi pani?

Służąca. Jaśnie pani z panienką, już oddawna gotowe do wyjścia, czekają tylko na pana profesora.

Profesor. Powiedz im, że jeśli chcą, niech idą same. Ja zostanę w domu.

(Służąca wychodzi. On przez chwilę przypatruje się kartom wizytowym obydwóch Polaków, którzy wyszli, potem wyjmuje z kieszeni list, roztwiera, czyta).

SCENA VIII.

(Wchodzi Gertruda).

Gertruda. Ojczulku, czy ty nie chcesz pójść z twoją Gertrudą na spacer, jak obiecałeś? Dlaczego nie chcesz iść?

Profesor. Nie jestem usposobiony. Mam kłopoty. Brak mi humoru, moje drogie kochanie.

Gertruda. Czy to wizyta tych panów tak cię źle usposobiła, tateńko?

Profesor. Wizyta? tych panów? Co znowu! zkąd takie przypuszczenie?

Gertruda. Mama zawsze powtarza, że jak ty, ojczulku, ze swemi rodakami się spotkasz, to zawsze jesteś potem smutny!

Profesor. Ach, głupstwa mówisz! Sama nie wiesz, co gadasz. Czyż koniecznie smutek, albo zły humor musi przyjść z zewnątrz, od kogoś, albo od czegoś? Może tak samo dobrze przyjść jak pogoda, lub niepogoda na dworze.

Gertruda. Więc to nie wizyta pana Tadeu... pana Malczewskiego wprawiła ojca w zły humor?

Profesor. Dlaczego o pana Malczewskiego tak ci chodzi?

Gertruda. Bo ja go bardzo lubię. To taki miły człowiek. To prawdziwy Polak. (z przymileniem). Ojcze, on mi się bardzo, bardzo podobał... Jak on się cieszył, gdy się dowiedział, że ja mówię po polsku!

SCENA IX.

(wchodzi profesorowa).

Malwina. (kobieta 34 letnia, dość piękna i miłej powierzchowności). Ależ mój drogi, skądże nagle ten wstręt do wyjścia razem z nami?

Gertruda. Ja tatkę tak prosiłam — ale on powiada, że jest w złym humorze.

Malwina (spostrzegając list, który profesor właśnie chowa). Ach, ten list, ten nieszczęsny list! Całe dnie teraz tylko medytujesz nad tym listem! A cóż znowu! — przecież list od twego brata, to nie dyplomatyczna nota!

Profesor. Tak — ale on od lat kilkunastu może już do mnie nie pisał.

Malwina. Winszuje ci katedry w Berlinie. Nic w tem dziwnego.

Profesor. To pretekst. To pretekst tylko. Przecież wyraźnie zwraca się z prośbą o pomoc.

Malwina. Żałujesz odpowiedzi, jaką mu na to dałeś?

Profesor. I tak — i nie. Pominąwszy już to, że mu na razie żądanej sumy pożyczyć, czy dać nie mogłem ze względu na nasz plan kupienia willi, pominąwszy już to, — nie mogłem stanąć w sprzeczności z zapatrywaniami. To jest przecież głupstwo, gdy on sobie przywidział, że stoi na jakimś tam wyłomie i rwie i targa siły, aby się utrzymać. Ziemia, gdy się nie opłaca — sprzedać ją do licha!

I to kto! Ale on! On — skończony prawnik — wziął się do roli! Niepoprawny idealista był i będzie z niego. Niechajby tu przyjechał — a o dobre miejsce bym mu się wystarał. Dziś z rolnictwem to niema sensu. Odpisałem więc, jakem ci mówił: niech sprzeda, niech tu przyjedzie, dobre miejsce znajdę, zajmie się wychowaniem swych chłopaków i wypełni życie również zasłużoną pracą.

Ale pomimo to mi jakoś żal. Wiesz, Malwina, jeśli on, on do mnie pierwszy się zwrócił o pomoc, to już musiało być coś, coś...

Malwina. To mu odpisz, że po głębszym namyśle godzisz się na pożyczkę. Te dwadzieścia tysięcy — to przecież nie suma.

Gertruda. Jaki to biedny ten kraj ojczusia, że dzielni ludzie nie mogą sobie dać rady! Ja bardzo chciałabym poznać naszą rodzinę z Polski.

Profesor. A ja wątpię, czy ta rodzina chciałaby ciebie poznać. To są wszystko szalone głowy. Za zbrodnię mi poczytuję, że twoja mama nie jest Polką i że ty Polką nie jesteś.

Gertruda. Rozbroiłabym z pewnością ich gniewy, gdybym ich zapewniła, jak kocham ten ich nieszczęśliwy kraj, ich koleje losu i te smutne pieśni narodowe. Oni wszyscy tacy dumni...

Profesor. Wiesz, Malwino, prawie żałuję, żem nie przyrzekł mu pomocy. On się uparł, że nie sprzeda komisji kolonizacyjnej, ten cały upór, to absurdum, ale zresztą trzeba było chyba dać...

Malwina. Ja też jestem tego zdania. Niech siedzą przy tej wsi, kiedy im się tak podoba. Przywiązanie też coś znaczy.

Gertruda. O, ja czytałam jedną powieść o tem, jak oni tam w Poznańskiem po rycersku walczą, aby tylko trzymać ziemię, choćby za najgorsze piaski im złotem płacili. To musi być jednakowoż wielka rzecz, tak w obronie ideałów walczyć.

Profesor. Egzaltujesz się zupełnie niewiedzieć poco. Żeby się oni praktyczniej zapatrywali na życie i skwitowali z tych idealnych marzeń, toby dla wszystkich było lepiej. Piękne to jest, jako wspomnienia z lat młodzieńczych...

Wiesz, Malwina, pan Malczewski był tu przed chwilą i opowiadał o jakimś biedaku, który przywędrował aż stamtąd do Berlina i tu ledwie z głodu nie umarł. Jakoś mu jego rodacy pomogli. Znalazłoby się miejsce tu dla niego — ale on koniecznie chce wracać do starej biedy tam w kraju, bo powiada, że ocknęło się w nim coś... Wiesz, to słowo utkwiło mi w pamięci i brzęczy, jak nieznośna mucha. Zdaje mi się, że się i we mnie coś ocknęło — i żałuję, doprawdy, tej odmownej odpowiedzi, danej bratu... Zawsze jednak tam gdzieś w sercu jest jakiś idealny kącik, w którym śpią a śpią jakieś uczucia — ale gdy się ockną, to żadnemi rozumowaniami nie odgrodzisz się od nich.

Przecież ja w tem Księżopolu urodziłem się, co ma być teraz sprzedane. Tam spędziłem pierwsze lata młodości — tam (**podczas gdy on ostatnie słowa mówi bardziej do siebie, niż do żony, Gertruda siada do fortepianu i z cicha, pianissimo uderza kilka akordów z chorału »Z dymem pożarów«**).

Profesor (**nagle**). Co to? Co za pieśń! Gertrudo, dziecko, odejdź od fortepianu — ta melodja rozdrażnia mnie.

Gertruda. Ojczulek dziś taki opryskliwy — z pewnością tęskni.

Malwina (**całując go w czoło**). Umiemy uszanować twoje uczucia patrjotyczne — i nie chcemy ci przeszkadzać w zadumie. Chodź, Gertrudo.

Gertruda. O, nie. Ja chcę tęsknić razem z ojcem. To tak poetycznie (**zapada powoli zmierzch, Gertruda siada do fortepianu i wygrywa: »o gwiazdeczko, coś błyszczała«, kilka akordów tylko, podczas których panuje cisza. Nagle pukanie do drzwi**).

Malwina. Proszę! (**wchodzi służąca z zapaloną lampą i telegramem w ręku**).

SCENA X.

Służąca. Przynoszę odrazu i lampę — bo z poczty przynieśli jakiś pilny telegram do pana profesora.

Profesor (**szukając binokli**). Franciszka, przynieś mi z mego pokoju binokle albo okulary. (**znajdując binokle**). A już mam. Daj telegram. Dziwnie mi coś ścisnęło serce.

Gertruda. Ja się boję doprawdy.

Profesor (**czyta. Po chwili**). Ach — on — on — Niestety!

Gertruda, *Malwina* } Co się stało?

Profesor (**złamanym głosem**). On — nie żyje — umarł — zastrzelił się. Nie mógł przeżyć hańby!

Malwina. Kto? kto?

Profesor. Stanisław! mój brat.

(**Chwila długiego milczenia**).

Malwina. Biedny!

Profesor. To ja jestem winien! Ja! Ja tylko! On do mnie wyciągał rękę po ostatnią pomoc — ja mu jej odmówiłem — dlatego się zastrzelił.

Malwina. Czy to jest w tym telegramie?

Profesor. Tego niema — ale ja to wiem. Ja to czuję, gdzie wina!

Malwina. Teraz ty się egzaltujesz. — Wiadomość trafiła właśnie w taką chwilę..

Profesor. Ale mimo to wszystko... Takie nieszczęście! Niespodziewany czyn rozpaczy! (**po chwili**) Ja tych ludzi nie rozumiem. (**po chwili**) Zabił się — zabił się... Nie, to jest coś okropnego!

Malwina. Ale proszę cię, mój drogi — powiedz, że przynajmniej, co jest w tym telegramie? W jaki sposób cię zawiadamiają?

Profesor (**czyta**). Pisze do mnie bratowa: „Stanisław dziś rano się zastrzelił. Nasze położenie okropne. Znikąd pomocy i rady. Nie wiem, co począć. Stanisławowa“.

Co ja mam zrobić: powiedźcież?

Gertruda. Ojciec pojedzie?

Profesor (**żywo**). Pojechać? Dokąd?

Gertruda (**nieśmiało**). No — tam — do Polski — na pogrzeb...

Profesor. Tam?... Ja — mam — tam — jechać?

Malwina. No, omówimy jeszcze tę rzecz. Przecież pogrzeb nie odbędzie się zaraz jutro. A co do samego faktu, to nie widzę rzeczywiście powodu do wyrzutów, jakie sobie robisz... Kto tam wie, dlaczego zrobił to, co zrobił... Co mu w dłoń włożyło broń zabójczą? Zajmiesz się wdową i sierotami. Tembardziej, skoro się do ciebie zwracają, nawet nie znając osobiście. Już z tego samego można wnosić o tem, że nikt tobie żadnego wyrzutu nie robi.

Gertruda. O, tak, zajmiemy się naszą rodziną.

(**Tymczasem profesor chodzi wielkiemi krokami po pokoju. Nagle staje przed córką**).

Profesor. Naszą rodziną — powiadasz? Jakie z ciebie niedoświadczone dziecko! Ty niemasz tam rodziny, rozumiesz! Twoja cała rodzina — to matka i ja. Dla ciebie kraj tamtych — to kraj schodzących już z widowni ludzi... Nie myśl o tym kraju.

Malwina. Ależ, mój drogi, uspokój że się. Może zaszkodzić ci...

Profesor (**nie zwracając uwagi na jej słowa**). A ci ludzie — to nie są ludzie teraźniejszości — to ludzie dnia wczorajszego: w łeb sobie strzelić, aby nie widzieć, jak w obce ręce przechodzi szmat ziemi! Nie, doprawdy, na to potrzeba idealisty, nie liczącego się z tem, co jest konieczność, co jest silniejsze od nas! Ale oni wszyscy tacy! Nie pojmują życia — nie liczą się z niczem. To się nazywa u nich wierność dla idei!

Malwina. Nie wszyscy przecież są tacy. — Są przecież i tacy, co jak ty, wyzwolili się z tego zaczarowanego koła.

Profesor. Ach ja! Co tam ja! Nie mów tu o mnie, bo ja...

(Pauza).

Profesor (z nagłą decyzją). Malwino, ja jadę, ja muszę jechać.

Malwina. Jak uważasz, mój drogi. Jeśli sądzisz, że powinieneś...

Profesor. I wy pojedziecie ze mną.

Malwina }
Gertruda } My?

Profesor. Tak. Pojedziecie. Ty — Gertrudo — powinnaś poznać ten kraj... A ty Malwino... (nagle wychodząc). Lepiej, że będziecie przy mnie, bo boję się, aby się co nie stało... (Wychodzi).

Malwina. Gertrudo, czyś słyszała, co ojciec powiedział? (nie oczekując odpowiedzi). On się tam boi — niebezpieczeństwa dla siebie?... My go mamy bronić? (Gertruda tymczasem przykłada oko do dziurki od klucza, chcąc zobaczyć, co robi ojciec w drugim pokoju).

Malwina. My go mamy bronić — przed czem, przed kim? — Chyba przed nim samym!?

Gertruda (pół szeptem). Mamo! mamo! (Malwina się zwraca ku niej).

Ojciec — tam — on — płacze!

(Koniec aktu I.).

(C. d. n.)

Z Syberji i Kamczatki.

Gerwazy Gzowski.

(Ciąg dalszy).

Niektórzy z kupców zawodowych, a w tych rzędzie kupiec „Djamant“ z Curuchajtuja, utrzymywali, że Gerwazy na kupca się nie zdał, był „za dobry; prosiak, a nie kupiec“, powiadali oni; wszyscy jednak inni, wbrew takiemu ocenieniu ze strony powag kompetentnych, nazywali go idealnym kupcem, który lepiej się zasłużył obcemu społeczeństwu, niż wszyscy „Djamanci“, Daurscy razem wzięci, swemu własnemu*).

Gzowski wróciwszy do Warszawy znalazł skromne zajęcie, żył z własnej pracy i oddawał się z całem poświęceniem sprawie narodowej. Mieszkał dłuższy czas z Gillerem. W chwilach najniebezpieczniejszych i najcięższych stał u steru nawy powstańczej. Po usunięciu się Gillera z Warszawy zarządzał oddziałem, zwanym „Ekspedycją“, mającym zadanie przesyłania korespondencji i przewożenia osób, należących do organiza-

*) Maksimów w dziele swojem, pod tytułem „Syberja i ciężkie roboty“, tłómaczonem na język polski przez Zenona Pietkiewicza, podaje o Polakach, handlujących na Syberji, następujące szczegóły:

„Inni na handlu i różnych aferach dorobili się znacznego majątku i zapominali o Ojczyźnie, inni, po zdobyciu majątku, wpadli następnie w ruinę zupełną (w Syberji wschodniej, za Bajkałem), gdy włościan zamieniono na kozaków i w nagrodę za ofiary, poniesione przytem, wzbroniono im wypłacania kupcom długów. Bogaty dom Kandyńskich (Kańdinskich) od tego czasu zaczął się szybko chylić ku upadkowi. Ucierpieli również dwaj znani Polacy: Gzowski i Gruszewski (Gruszecki). Ten drugi mieszkał w Kułtumie, prowadził handel rozległy i miał duże gospodarstwo. Nad rzeką Hazimurem (Gazimurem), nie było człowieka, któryby się nie stał jego dłużnikiem. Za najkorzystniejsze przedsięwzięcie i spekulacje Polacy uważali te, które pozostały w bezpośrednim związku ze skarbem. Przyczyny są powszechnie znane i nie wymagają wyjaśnień“.

Tak brzmi ten pozornie niewinny ustęp z dzieła Maksimowa, o kupcach Polakach, a wszakże pełen jest insynuacji, niczem nie usprawiedliwionych. Ciężkie zarzuty, które lekką ręką poczynił Polakom Maksimow, dziwią nas tembardziej, że wszystkie swoje wiadomości czerpie autor z dzieła Agatona Gillera. Ażeby czytelnik mógł sam osądzić, jak nieszlachetnie bryznął Maksimow błotem na osobistości najzacniejsze, które w życiu swojem nigdy żadnej afery i spekulacji „ze skarbem“ nie miały, „łapówek“ nie dawały i nie odbierały, co niemi się brzydziły, które prędzej byłyby głowę swoją na ścięcie oddały, aniżeliby się skalać miały postępkiem, tak hańbiącym, a który im podsuwa, rzekomo przejacielską dłonią, Maksimow.

Agaton Giller, dając nam obraz cały, dotyczący charakteru sybiraków, kreśli i strony ich ujemne, mianowicie opisuje „oszukaństwa sybiraków. T. 2. str. 93 — 97, w trakcie tego opisu wspomina prawie mimochodem o kupcach Polakach; otóż tych kilka uwag Gillera użył Maksimow w celu, wyżej wskazanym. To, co powiedział Giller, podaję tutaj dosłownie:

„Michał Gruszecki w Kułtumie, znany z wymowy, dobroci i łagodności charakteru, jest dobroczyńcą całej okolicy. Ma on rozległy handel i duże gospodarstwo ma więc i rozległe stosunki z sybirakami. Niema sybiraka nad Gazimurem, którýby nie był mu winien pieniędzy i któryby nie był mu obowiązany w jakikolwiek sposób. Ratuje ich jak może i jak może pomaga, pomimo to jest okpiwany przez nich na każdym kroku. (T. 2 str. 94). „Handel“ (na Syberji) „opiera się na kredycie, a karjera handlowa, z wyjątkiem Polaków, jest szeregiem dyplomatycznych szachrajstw, figielków i oszukaństw. Człowiek poczciwy w tej matni dziwnych sposobów i złej wiary nie da sobie rady, pospolicie też bankrutuje. Gdy chłopów zamieniali na kozaków, chcąc im rząd choć w części wynagrodzić straty, jakie ponieśli, nie kazał im płacić długów, jakie zaciągnęli u kupców. Kupcy nie mieli gdzie i do kogo udać się ze swoją krzywdą i wielu z nich, a między nimi najbogatsi w Daurji kupcy Kandynscy (Kańdinscy) zbakrut

cji, drogami tajnemi. Komisja śledcza na Pawiaku tytułowała ten oddział nazwą: „ministerjum poczt narodowych“. Olbrzymia sieć, zorganizowana wzdłuż i wszerz kraju, wymagała licznych funkcjonarjuszów: czynnych, wytrwałych, mężnych i dyskretnych; przy braku męzkich sił, powołał Gzowski kobiety, licząc na ich poświęcenie. Pomimo obawy pierwotnej, objawianej ze stron rozmaitych, żadna z nich nie zdradziła zaufania, ani jedna nie poszła w ślady Hanuszów, Ławcewiczów, Morawskich, Przybylskich, Trzebieckich, przeciwnie okazały się mężniejszemi i wytrwalszemi, niż mężczyźni; chłosta uważana przez Tuchołkę za wielce skuteczny środek przy indagacji, okazała się bezsilną.

Na stanowisku naczelnika Wydziału ekspedycji, został Gzowski uwięziony. Podczas indagacji barbarzyńsko katowany, zamykany „w Tiomnych“ tj. w piwnicach o chlebie, wodzie i smrodzie, przecierpiał katusze z heroizmem męczennika. Będąc z góry przygotowany, że zginąć musi na szubienicy, wyczekiwał cierpliwie śmierci, której się nie lękał. Jakież więc było jego zdziwienie, gdy go „ułaskawiono“, czyli zmieniono karę śmierci na 20 lat robót ciężkich. Że uniknął stryczka, zawdzięczał tylko tej okoliczności, iż miano naprędce na jego miejsce, w skład „rządu“ wchodzącego członka nową ofiarę, w osobie jego zastępcy, Żulińskiego; w taki sam więc sposób został Gzowski przy życiu, w jaki ocalał i inny członek „rządu“: H. W., którego zamiast zginął Toczeski. Z rezygnacją szedł Gerwazy powtórnie do „katorgi“, żałując tylko, że śmiercią swoją nie okupił życia Żulińskiego. Gdy przybył do Tobolska, ówczesny gubernator Despot-Zenowicz, jeden z najzacniejszych ludzi epoki ubiegłej, chciał ulżyć Gzowskiemu w jego dalszej podróży i wysłać go „na podwodach“, lecz ten odmówił stanowczo, powiadając: „Bracia moi wieśniacy idą pieszo, więc i ja z nimi: raz już odbyłem w ten sposób całą drogę do kopalń Nerczyńskich, przejdę ją i poraz drugi“. Gdy za przykładem Gerwazego poszli i inni ziomkowie nasi, mający prawo do podwód, wtedy postanowiono wysłać i wieśniaków, czyli tak zwanych ludzi „bez przywilejów“ (Nieprywiligirowannych), również na podwodach. Gzowski wyruszył pieszo przy partji aresztantów cywilnych, w towarzystwie kilku wieśniaków, sądzonych za przystępstwa polityczne. W liczbie tych ostatnich był żołnierz dymissjonowany z wojska rosyjskiego, „Cybuszkin“, rodem z Wołynia, z tym ostatnim miał wiele kłopotu Gzowski. Cybuszkin bowiem, jakkolwiek przebywał już dłuższy czas w szeregach powstańczych, nie mógł się jednak odzwyczaić od nabytej w wojsku skłonności do złodziejstwa, uważał on naiwnie kradzież za konieczną atrybucję dzielnego żołnierza wojsk cesarskich, napróżno go moralizował Gerwazy, napróżno go pilnował, umiał on zawsze ukraść zręcznie babom, sprzedającym więźniom pokarm na etapach, rozmaite statki i ze sprzedaży następnej powiększać swoją szczupłą „pensję carską“, jak nazywał strawne, („kormowaje“), wypłacane aresztantom w drodze.

(C. d. n.).

Dr. B. Dybowski.

Polacy w Berlinie.

IV. W jaki sposób kolonja polska w Berlinie może przynieść pożytek społeczeństwu, z którego wyszła, i krajowi, ku któremu biegną wszystkie jej życzenia, nadzieje i dążenia?

Na pytanie to nie jest łatwo dać trafną odpowiedź. Był czas, gdy inteligentniejsi wśród ogółu berlińskich Polaków nie umieli na nie dać innej odpowiedzi, jak tę: starajmy się uchronić

---

wali, kilku też wygnańców, jak Michał Gruszecki, Gerwazy Gzowski duże sumy przez to stracili. Najkorzystniejsze spekulacje tutaj są z rządem, bo najłatwiej jest rząd oszukać z powodu przekupstwa czynowników“. (l. c. str 96.)

Zestawienie źródłowych wiadomości, podanych przez Gillera, z przeróbką ich, uskutecznioną przez Maksimowa. wykaże w dostatecznej mierze niesłuszność zarzutów. Ja ze swej strony dodam tutaj, że nie widziałem, ani słyszałem, ażeby którykolwiek z dawnych „sibiraków“ skalał siebie „aferami i spekulacjami“ niehonorowemi i ażeby choć jeden z nich dorobił się majątku. albo zapomniał o ojczyźnie. Gzowski i Gruszecki wypłacili najsumienniej długi, zaciągnięte u Kandinskich, u których brali na kredyt towary, a jakkolwiek skreślając samowolnie kozakom wszelkie długi, generał-gubernator tem samem uprawnił wszystkich do nierzetelności, to jednak kupcy Polacy jedni w całej Daurji nierzetelnością się nie skalali, bo nie chcieli korzystać z bezprawia, wprowadzonego przez generał-gubernatora do stosunków handlowych na Syberji. Gzowski i Gruszecki wprawdzie stracili przez to znaczne sumy. ale nie zbankrutowali, przeciwnie prowadzili handel aż do wyjazdu swego, który nastąpił w roku 1887. Stracić znaczne sumy, a wpaść w ruinę zupełną, czyli zbankrutować, nie módz wypłacać należności — są to różnice w zawodzie kupieckim bardzo wielkie.

naszą narodowość przed germanizacją, a już tem samem oddamy krajowi przysługę.

Lecz okazało się, że przez samą obronę narodowości przed germanizacją krajowi żadnej korzyści nie przysporzono; młodszego pokolenia od germanizacji uchronić nie można, i najwięksi optymiści pod tym względem przekonać się musieli o tem. „Jakąż więc korzyść kraj nasz z nas mieć może, jeśli dzieci nasze zniemczyć się muszą?“ brzmiał głos zwątpienia. Szukano więc dalej, powoli badano stosunki kraju i wychodźtwa, starano się odgadnąć łączący je w jedną całość związek — bo o tem ani na chwilę nie wątpiono, że kolonja tak liczna, jak polska w Berlinie, przysłużyć się krajowi może, a co do sposobu, w jaki stać się to może i powinno, to wynikać on powinien ze zrozumienia potrzeb kraju z jednej strony — sił i środków kolonji polskiej z drugiej.

I wreszcie z powodzi zdań, projektów i prób wyłoniła się myśl następująca, która określa konkretne dążenia i cele ogółu polskiego w Berlinie. Jesteśmy tu na obczyźnie po to, aby wśród społeczeństwa bardziej rozwiniętego społecznie i ekonomicznie, niż nasze społeczeństwo, poznać w praktyce nieznaną jeszcze u nas organizację pracy, aby zaznajomić się z postępami wiedzy praktycznej, rozszerzyć widnokrąg myśli i — wrócić do kraju, a tam w przemyśle i w handlu zwalczać niemiecką konkurencję zapomocą naszych tu nabytych sposobów, których w kraju nie znają, — a dalej, w życiu towarzyskiem i społecznem dawać przykład, że i rzemieślnik w dzisiejszych czasach może mieć i mieć powinien samodzielność poglądów, że powinien być obywatelem, jakim jest w społeczeństwach zachodnio - europejskich, ale nie u nas; — że wreszcie powinien odegrać po powrocie, między swymi, rolę zaczynu, któryby przyspieszył proces wewnętrznych społecznych przekształceń, których ostatecznym celem jest przeniesienie politycznego i społecznego punktu ciężkości ku klasie średniej.

Rozumowanie powyższe opiera się na trafnem zrozumieniu ekonomicznych i społecznych potrzeb kraju, niemniej zaś na trafnej ocenie tego, co wychodźtwo berlińskie krajowi dać może.

Może ono dać krajowi przedewszystkiem jednostki wysoko wykwalifikowane w rozmaitych działach przemysłu i rzemiosła; może dać n. p. powstającej fabryce lamp — zdolnych majstrów, wykształconych w pierwszorzędnych zakładach berlińskich, a ze swej strony mogących wykształcić w kraju cały szereg sił swojskich; fabryce perfum — da praktycznie obznajomionego z tym działem przemysłu specjalistę; zakładom tkackim — pierwszorzędne siły fachowe; zdolnych tapicerów, kierowników fabryki mebli, majstrów do fabryk maszyn i przyrządów technicznych, litografów i drukarzy, krawców pierwszorzędnych, nie zaściankowych — tych wszystkich ludzi, których umiejętną pracę znać na każdym kroku wśród społeczeństw zachodnio - europejskich, dostarczyć może krajowi emigracja polska w Niemczech i główna jej siedziba — Berlin.

Czy to jest mało? Wszak w innych społeczeństwach dają rzemieślnikom stypendja na wyjazd zagranicę, aby mieli możność wykształcenia się w swym zawodzie, a ci tylko czekają na sposobność, aby do kraju powrócić. W Poznańskiem takich ludzi potrzeba i potrzeba ich będzie coraz więcej.

Z ekonomicznego punktu widzenia pogląd ten, streszczający doświadczenia i rozmyślania kolonji polskiej, uznać trzeba za zupełnie słuszny. Przytem powrót do kraju rozwiązuje w prosty sposób i kwestję germanizacji młodego pokolenia. Walka z germanizacją staje się już celową, staje się środkiem do dalszych dążeń, a chęć zdobycia zamożności przestaje być materjalistycznie zabarwionem dążeniem, skoro zostaje nagiętą do celów wyższych, do p o w r o t u d o k r a j u.

Powracający do kraju rzemieślnik lub drobny przemysłowiec nie może wracać tak, jak wyszedł z kraju — tj. z pustemi rękoma. Musi mieć pewne zasoby pieniężne. (D. n.) *R.*

Kartki naukowe.

O leczniczych i odżywczych własnościach mięsa.

przez

Dr. M. STEFANOWSKĄ.

Dwaj uczeni francuscy Héricourt i Richet świeżo ogłosili odkrycie, które wzbudziło wielkie zainteresowanie nietylko w świecie uczonych i lekarzy, ale i w szerszej publiczności. Chodzi tu bowiem o walkę z jednym z najgorszych wrogów ludzkości — z gruźlicą, na którą medycyna nie posiada jeszcze niezawodnego środka leczniczego. Otóż wyżej wymienieni uczeni obwieszczają

nam, że wynaleźli sposób szybkiego leczenia tej choroby, nietylko w początkach jej rozwoju, ale nawet w fazie bardzo groźnej. Łatwo zrozumieć, jaki entuzjazm budzi w publiczności podobne odkrycie, jak szeroko głoszą o niem w chwili obecnej pisma zagraniczne.

Jakież to cudowne lekarstwo na tę nieubłaganą chorobę? zapyta czytelnik skwapliwie. Lekarstwo bardzo proste i dostępne niemal dla wszystkich. Jestto leczenie chorych surowem mięsem, a raczej leczenie sokiem, wyciśniętym z surowego mięsa. Wprawdzie doświadczenia w tym kierunku robione były już i dawniej, przyczem zauważono, że zwierzęta, dotknięte gruźlicą, szybko wracały do zdrowia, gdy odżywiane były surowem mięsem. Ale pozostawało kwestję tę zbadać bliżej i wyświetlić, jak leczenie prowadzić należy.

Héricourt i Richet wszystkie doświadczenia swe przeprowadzili na psach. Zwierzętom tym zaszczepiano zarazki gruźlicy, a gdy choroba rozwinęła się do pewnego stopnia, wówczas psy leczono za pomocą pokarmu mięsnego, pod rozmaitemi postaciami. Z doświadczeń swych uczeni ci wysnuli trzy wnioski nader ciekawe:

1. Gotowane mięso nie posiada własności leczenia gruźlicy. Prawdopodobnie podczas gotowania zostają zniszczone w mięsie niektóre fermenty lecznicze.

2. Surowe mięso składa się, jak wiemy, z dwóch części: z soku mięsnego i z włókien. Doświadczenia ich wykazały, że jedynie sok wyciśnięty z mięsa szybko leczy gruźlicę, wówczas gdy włókna mięsne, w wodzie wypłukane, żadnego wpływu leczniczego nie mają.

3. Gdy choroba mocno się rozwinęła, i zwierzę jest bliskie zgonu, to i w tym nawet wypadku surowe mięso może powołać je do życia.

Z powyższych rezultatów wnioskować jednak nie należy, że sok mięsny uzdrawia dlatego, że jest bardzo pożywny, byłoby to mniemanie błędne, gdyż mięso gotowane, a nawet mięso wymoczone w wodzie są nierównie pożywniejsze od soku, zawierają bowiem więcej części azotowych. Chodzi tu więc jedynie o udzielenie pewnej odporności na zarazki gruźlicy. Być może nawet, iż używanie soku mięsnego wywierałoby na organizm nasz wpływ zapobiegawczy względem gruźlicy i niektórych innych chorób zakaźnych.

O ile nowy środek przeciwko gruźlicy okaże się istotnie skutecznym, czas to pokaże; zdaniem naszem niepodobna orzec coś stanowczego, dopóki nie będziemy posiadali spostrzeżeń, zebranych drogą praktyki lekarskiej. Uczeni francuscy robili bowiem doświadczenia jedynie na psach i w dodatku opierają swe wnioski na niewielkiej liczbie spostrzeżeń. Ponieważ jednak środek, zalecany przez nich jest nader dostępny i nieszkodliwy, można przeto wypróbować go na chorych, co też lekarze uczynić nie omieszkają, w rozmaitych krajach.

Zadawano jednak pytanie, dlaczego nie dawać chorym wprost surowego mięsa, zamiast wyciśniętego soku? Odpowiedzieć na to możemy, iż rzadko który z chorych mógłby strawić kilogram mięsa dziennie, a leczenie gruźlicy wymaga, aby pacjent spożywał dziennie conajmniej ilość soku, zawartego w kilogramie mięsa. Należy tedy oznaczoną ilość mięsa posiekać, zalać kwartą zimnej wody i zostawić masę tę w spoczynku przez kilka godzin. Następnie sok wycisnąć i podawać choremu w kilku dawkach.

Z powyższych wierszy wysnuwa się wyraźnie wniosek, iż mięso obok własności odżywczych posiada jeszcze własności lecznicze, nie należy zatem utożsamiać tych dwóch zalet.

Aby lepiej wyjaśnić, na czem polega owa różnica, pomówimy teraz o odżywczej wartości mięsa, opierając się na analizie świeżo przedstawionej paryskiej Akademji Nauk.

Jakie mięso jest najpożywniejsze? Pod tym względem istnieją między publicznością najsprzeczniejsze zdania, oparte nieraz na przesądach. Dlatego więc pożytecznem będzie posłuchać, co o tym przedmiocie mówią najnowsze badania naukowe.

W pracy, o której mówimy, badano mięso najważniejszych ssawców używanych w sztuce kulinarnej, a więc mięso wołu, cielęcia, barana, kozy, muła, osła, konia, wieprza i królika. Nie należy bowiem zapominać, że mięso zwierząt wymienionych jest w powszechnem użyciu w rozmaitych krajach Europy, zwłaszcza rozpowszechnia się coraz więcej używanie mięsa końskiego. Tak naprzykład w 1898 roku do jatek paryskich dostarczono 21290 koni.

Analiza chemiczna wykazuje nam, że każdy gatunek mięsa zawiera w sobie mniej więcej jednakową ilość pożywnych części, jak to widać z następującej tabeli:

100 gramów mięsa zawierają w sobie:

Wody	70	do	78	gramów.
Substancyj mineralnych	0,50	do	1,25	„
Tłuszczu	1,40	do	1,13	„
Substancyj azotowych .	18,75	do	21,87	„

Widzimy tedy, że najważniejszą składową częścią mięsa jest woda, tak iż każde 100 gramów mięsa dostarczają nam najwięcej 30 gramów materjałów odżywczych.

Pamiętać jednak należy, że waga mięsa ulega wielkim zmianom wskutek pieczenia i gotowania. Mięso pieczone straciło wiele wody przy parowaniu, zachowało jednak wszystkie części pożywne. Gotowane mięso ulega nierównie większym zmianom. Podczas gotowania traci ono nietylko wodę, ale także tłuszcz, część substancyj azotowych w wodzie rozpuszczalnych, a zwłaszcza traci wiele soli mineralnych, które pozostają w buljonie.

Z powyższych spostrzeżeń ogólny wniosek jest następujący:

Przy jednakowej wadze mięso pieczone jest najpożywniejsze. Drugie miejsce po nim zajmuje mięso gotowane. Najmniej zaś po-

żywne jest mięso surowe, gdyż najwięcej wody zawiera.

Mięso drobiu (kury, kaczki, gęsi) zawiera takież same pierwiastki odżywcze, jak mięso zwierząt czworonożnych. Niesłusznie przeto rozpowszechnione jest zdanie, że mięso drobiu jest mniej pożywne od innego mięsiwa. Przeciwnie mięso drobiu jest nawet nieco więcej pożywne od mięsa wołowego, gdyż zawiera w sobie mniej wody.

Na największą zaś uwagę zasługują kurze jaja, żółtko jest w ogóle pożywniejsze od białka, ale całkowita zawartość pożywnych części w jajku jest mniej więcej taka sama, jak w kawałku mięsa, odpowiadającego wadze jajka.

Obrachujmy teraz, jaką wartość spożywczą przedstawiają dla nas jaja w porównaniu do mięsa.

Dwa jaja bez skorupy ważą przeciętnie 100 gramów, przyczem mamy 75 gramów wody, a 25 gramów pożywnych materjałów. Według tego obliczenia 20 jaj dostarczają tyle pożywienia, ile 1 kilogr. czyli 100 gramów mięsa, Kura, mogąca w bardzo krótkim czasie znieść 20 jaj, jest prawdziwą fabryką produktów spożywczych i dlatego wszelkiemi sposobami należałoby popierać hodowlę najlepszych ras kokoszek.

Jak ważną rolę odgrywają jaja w odżywianiu ludności widać z następnego przykładu, bo 1898 roku na komorze paryskiej zdeklarowano 538299120 jaj, co równało się ilości mięsa, jaką dostarczyć mogły 168200 wołów.

Z pism i książek.

Wł. M. Kozłowski. Misja Kościuszki do Paryża w r. 1793. Lwów 1899.

Broszurka p. Wł. M. Kozłowskiego omawia właściwie nietyle misję Kościuszki do Francji, ile dyplomatyczne stosunki między Francją a Polską wogóle. W owych krytycznych czasach w dziejach ojczyzny naszej zdawało się, że jedynie republikańskim duchem przejęta Francja będzie mogła i chciała udzielić pomocy narodowi, nad którym już ciężyła groźna chmura despotyzmu. Przeciw temu to wspólnemu wrogowi miały walczyć obie — bratnim owiane duchem — rzeczypospolite.

W pracy swej p. Wł. M. Kozłowski dotknął kwestji w historji naszej dotychczas nieopracowanej i mało uwzględnianej zapewne dlatego, że aljans Francji z Polską żadnych namacalnych, praktycznych wyników nie wydał. Francja sama przebywała podówczas fazę przejściową swego wewnętrznego ustroju politycznego i na nic więcej, prócz »gorącej sympatji« zdobyć się nie mogła.

Pomimo niepokaźnych swych rozmiarów praca pana W. M. Kozłowskiego zawiera dużo nieznanego dotychczas materjału historycznego, opiera się bowiem na niewydanych dokumentach, znajdujących się w Archiwach spraw zagranicznych w Paryżu. *(Correspondence Polonaise)*.

Gdy w roku 1793 rokowania poufne pomiędzy Polską a Francją w sprawie zawarcia sojuszu zaszły już tak daleko, że można było się zająć sformułowaniem punktów przymierza, miał Weissenhoff jechać do Paryża w celu ukończenia tego dzieła. Lecz choroba przykuła Weissenhoffa do miejsca, tak iż misji jego podjąć się musiał kto inny. Wybór padł na Kościuszkę, którego rząd francuski znał z najchlubniejszej strony z raportów swego posła w Warszawie, a nawet ofiarował mu swego czasu — bezskutecznie — stopień generała w wojsku francuskiem, gdy się zdawało, że Kościuszko będzie zmuszony na zawsze opuścić Polskę, ustępując przemocy. Wprawdzie Kościuszko dyplomatą nie był, ale też misja, którą mu powierzono, do wyjątkowych należała i, opierając się na zasadach szczerości i prostoty republikańskiej, zalet serca i umysłu bardziej niż znajomości taktyki dyplomatycznej wymagała.

»Będziesz mógł osądzić obywatelu ministrze — tak pisał w tej sprawie pełnomocnik francuski do swego zwierzchnika — dobre usposobienie patrjotów polskich dla sprawy wolności z tego, iż naznaczyli do Paryża obywatela Kościuszkę, równie dobrego patrjotę, jak i dzielnego wojownika. Był on w Polsce postrachem sług despotyzmu, tem milszym będzie dla przyjaciół wolności i równości«.

Misja Kościuszki zmierzała głównie do nawiązania stosunków i udzielenia potrzebnych informacji rządowi francuskiemu; do uzyskania moralnej pomocy Francyi do powstania przez dyplomatyczny wpływ na Szwecję i Turcję, lub bezpośrednie zaszachowanie Rosji, wreszcie żądanie niepodległości Polski. Wzamian za to przyrzekano wprowadzenie w Polsce czysto republikańskiej konstytucji.

W tym szkicu sojuszu, mającego połączyć oba narody, uderza to, że nie ofiarowują sobie nawzajem żadnych korzyści za oddane usługi. Obie strony uważane są za wspólników, dążących do jednego celu — do wolności ludów.

Misja Kościuszki napozór została uwieńczona świetnym rezultatem: takby przynajmniej wnosić należało z listu ministra francuskiego; w istocie rzeczy »pomoc« francuska była czysto platoniczną sympatją.

Słusznie jednak autor omawianej broszury pisze, że misja Kościuszki była początkiem tych stosunków, które od swej chwili ciągną się bez przerwy, choć tajnie, pomiędzy narodem polskim, reprezentowanym przez jego patrjotów, a rządem francuskim, aż wreszcie stają się niejako tradycją dyplomacji powstańczej. Misja ta była początkiem, dodajmy, i tego szeregu złudzeń, na jakie naród polski w najboleśniejszych swych przejściach pod postacią »sympatji francuskich« był wystawiany, i była ona pierwszem w tym szeregu... złudzeniem. *r.*

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.